

Lesław Myczkowski

Grzegorzewice - Pałac Adwokatury: (wspomnienia z okazji minionego XX-lecia DPIA w Grzegorzewicach)

Palestra 42/1-2(481-482), 97-103

1998

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

WSPOMNIENIA

Lesław Myczkowski

Grzegorzewice – Pałac Adwokatury

(Wspomnienia z okazji minionego XX-lecia
DPTA w Grzegorzewicach)

Trochę historii

Turysta skręcający z szosy katowickiej w Żabiej Woli i dalej przez Skuły do szosy grójeckiej – spotka tablicę ze strzałką i napisem „Grzegorzewice – Pałac Adwokatury”. Tablicę tę zamieścił na skrzyżowaniu dróg ówczesny kierownik Domu Pracy Twórczej Adwokatury w Grzegorzewicach – bo tak brzmi oficjalna nazwa ośrodka (w skrócie: DPTA). Tablica ta stanowi swoistą nobilitację nazwy jaką naszemu ośrodkowi nadała miejscowa ludność, żyjąca raczej w skromnych warunkach, dla której dwupiętrowy dwór z podjazdem jawił się jako pałac. „Pałac” wraz z parkiem i zabudowaniami gospodarczymi dostała w tzw. „użytkowanie” Naczelna Rada Adwokacka za prezesury dr. Zdzisława Czeszejki, dziś sędziego Trybunału Konstytucyjnego. W uzyskaniu podworskiej resztówki największe zasługi mają prezes Czeszejko i członek prezydium NRA adwokat Jerzy Gniewiewski, który został pełnomocnikiem ds. odbudowy Grzego-

rzewic. Jego wielkim wysiłkiem i staraniem oraz dzięki poważnym nakładom finansowym NRA – dokonano odbudowy i częściowej przebudowy budynku „pałacu”, wyposażono ośrodek w meble i ogrodzono całość 16 hektarowej posesji. Uroczyste otwarcie DPTA z udziałem ministra sprawiedliwości i innych prominentów odbyło się w roku 1976. Za swoje zasługi Jurek Gniewiewski dostał Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski i... zawału serca.

Grzegorzewice to mała wioska rozrzucona po terenach piaszczystych, częściowo podmokłych i zalesionych. Do „pałacu” należały niegdyś piękne rybne stawy, którymi rządzi teraz Państwowe Gospodarstwo Rybackie. Przyległe do nich chaszczce i moczary są siedliskiem rzadkich już okazów dzikiego ptactwa jak np. siwe czaple. Niekiedy lądują tu nawet czarne bociany. Po stawach dostojnie pływają białe łabędzie, prawdopodobnie potomkowie tych z Radziejowic, bo do tamtejszego pałacu blisko, a ptaki te nie pozwalają się osiedlać ani

swym kuzynom, ani potomstwu (staw może należeć tylko do jednej pary). Mnóstwo zielonych żabek kumka w szuwarach i na groblach, dając prawdziwe koncerty gdzie indziej już zapomniane. Jednym słowem sielsko-anielska wieś z XIX wieku...

Wieś jest biedna, o pracę trudno, ziemi jak na lekarstwo i słabo rodzi, więc otwarcie ośrodka adwokackiego dostarczyło zarobków pewnej grupie ludności, na stałe i dorywczo. W „pałacu” pracuje i pracowało wiele osób, z których wymienię tylko najdłużej zatrudnione. Pani Wanda, Basia i Werka – w kuchni, pani Ania i Marysia – obsługujące jadalnię, pani Helenka i nieżyjąca jej siostra Krysia – pokojowe, a nadto złota rączka – pan Bogdan, który zajmuje się paleniem w kotle i uruchamianiem agregatu, gdy wyłączą prąd; utrzymuje też w porządku urządzenia techniczne i jeździ traktorem ogrodowym. Całością kieruje p. Urszula Michałowska, która pracuje w Grzegorzewicach stosunkowo niedawno – jest przystojna, miła, uprzejma i rzeczowa.

Ośrodek adwokacki obejmuje – poza budynkami ogrodzonymi siatką – teren parkowy ze starymi akacjami, lipami, dębami i kasztanami i dwoma małymi stawami oraz młodym lasem sosnowym, obszaru łącznie 16 hektarów, ale zagospodarowanego tylko w pobliżu pałacu. Reszta parku czeka na lepsze czasy, które jakoś nie nadchodzą, a miał tu być basen, kort tenisowy i inne atrakcje... Ale to kosztuje, a w NRA kasa pusta.

Przed wojną była to posiadłość ziemiańska p. profesora Meissnera, słynnego chirurga stomatologa, który m.in. zaprojektował znane powszechnie w dentyście „kleszcze Meissnera”. Do

majątku należały wówczas wszystkie stawy i szmat ziemi uprawnej, lecz reforma rolna pozbawiła pp. Meissnerów dobroku życiowego. Bratem profesora był słynny Janusz Meissner, pilot i pisarz, autor tak słynnych powieści, jak przedwojenna „Szkoła Orłąt”, czy powojenne „L – jak Lucy” i „Żądło Genowefy”.

Pałac ostał się działaniom wojennym, ale dobiła go „gospodarna” socjalistyczna młodzież, której w pacht oddano pałac wraz z otoczeniem, a dbali o niego tak jak inni peerelowscy użytkownicy poszlacheckich dworów. Do naszych czasów dotrwało ich jedynie 800 z 17000 istniejących w 1945 r., reszta popadła w ruinę.

Trochę sensacji

O wsi Grzegorzewice mało pisano w gazetach, nie robiono tu wywiadów telewizyjnych, mało kto w ogóle wiedział, że taka miejscowość istnieje. Do annałów historii PRL Grzegorzewice dostały się raczej kuchennymi drzwiami, bez większej chwały. Otóż przez tę wieś wiedzie zelektryfikowany szlak kolejowy, który łączy Grodzisk bodaj z Dęblinem, a dalej prowadzi aż do granicy byłego ZSRR. Szlakiem tym za Polski Ludowej przewożono, jak się potem okazało bardzo atrakcyjne dobra: meble, telewizory, radia, dywany i inne, głównie z zachodu na wschód. Wagony te permanentnie okradano, jak to w socjalizmie, wielu bowiem jak nie dorabiało to dokradało. Kolej do tego przywykła, milicja też. Aż pewnego razu wybuchła „bomba”. Okazało się, że okradziono jakiś ważny transport, być może zginęła broń i amunicja, dokładnie nie wiadomo, ale radzieccy przyjaciele zrobili ogrom-

ne „larum” i zmusili polskie władze do energicznej akcji. Miejscowości położone wzdłuż toru, w tym Grzegorzewice załazy oddziały żandarmerii, policji i Bóg wie jakich tam jeszcze speców. Prowadzono szczegółowe rewizje, chałupa po chałupie, zrywano poszycia i podłogi. Wyniki okazały się rewelacyjne. Znalaziono dziesiątki cennych przedmiotów, poukrywane dywany, po-

gościom grzegorzewickiego pałacu, że idylliczny krajobraz może kryć różne niespodzianki. Przekonał się o tym m.in. kolega z Lublina – adwokat Jerzy Kiełbowicz, który w swoim czasie był opiekunem Grzegorzewic z ramienia NRA i dokonał tu kilku zmian m.in. personalnych. W tym czasie nabył on ziemię i miał budować dom rekreacyjny po drugiej stronie stawu, vis à vis naszego



ściel, aparaty telewizyjne i inne rzeczy, wszystko z tych kradzieży, w sumie warte dziesiątki dawnych milionów złotych.

Inną lokalną sensacją, o której długo tu rozmawiano, było odnalezienie trupa jakiegoś kolejarza z sąsiedniego Mszczonowa. Trupa wykopały lisy, a poznano kto zaczął po czapce kolejarzkiej. Kto zabił i dlaczego, do dziś nie wiadomo, ale ten wypadek uświadomił

ośrodka. Zgromadził materiały, grzejniki itd. oraz wspaniale wysuszone deski, ale nie doczekał się z nich pociechy, bo ktoś w nocy podpalił szopę i wszystko poszło z dymem. Mówiono, że to ktoś ze zwolnionych, ale dowodów nie było. Uparty Kiełbowicz kupił nowe materiały i dom postawił, do dziś chyba najpiękniejszy w okolicy. Odbija się stromym, czerwonym dachem w gładkiej tafli stawu. Niedawno zmienił właściciela.

Poza odbudową „pałacu” NRA odremontowała też budynki gospodarcze, a raczej postawiła je od nowa, a nadto wybudowała tzw. folwark – czyli dom mieszkalny z 9 czy 10 pokojami i 4 łazienkami, w których mogą przebywać latem goście z żywym inwentarzem, głównie z psami, ale zdarzają się również i koty. Jako właściciel dwóch kolejnych szarych wilczyc – zawsze wybierałem mieszkanie na folwarku, bo i swobodniej i do lasu bliżej. Moje wilczyce Amica i Vega szalały, gdy auto dojeżdżało do Grzegorzewic. Była to dla nich wyprawa jakby na wyspy Bahama, albo na jakieś psie Bermudy. Psie towarzystwo zmuszało nas do spacerów i podnosiło kondycję, nie mówiąc jak miło spacerować z takim czworonogim towarzyszem przy boku, i jak bezpiecznie. Pamiętam jak koleżanka adwokat – Marysia Janczewska wybrała się w pole z Amicą na spacer. Wtem z lasu wyskoczyło ku niej kilku młodych ludzi niedwuznacznie zamierzając nastawać na jej cześć lub portfel (do dzisiaj nie wiadomo). W tym momencie wyskoczyła ze zboża wilczyca Amica i pokazała, co potrafi. Wystarczyło, że zjawiła się u boku wystraszonej pani i pokazała całe uzębienie, a dzielni młojcy pierzchli z krzykiem porzucając dwa rowery.

Trochę personaliów

Pierwszym kierownikiem i zarządcą Domu Pracy Twórczej Adwokatury był pan Józef Salwerowicz, który zaprowadził w Grzegorzewicach idealny porządek, jednak nieco w pruskim stylu, czym na ogół nie byli uszczęśliwieni adwokacy goście i uczestnicy sympozjów. Zamykał bowiem bramę i wejście do głów-

nego budynku już o godzinie 22., a przecież przy ładnej pogodzie niejednemu chciało się jeszcze pospacerować po parku czy okolicy. Każdy spóźnialski spotykał się jednak z surową reprimendą pana kierownika. Pamiętam, że podczas jakiegoś sympozjum wyszliśmy z kolegami do parku, wracamy, a tu drzwi zamknięte. Okienko od kuchni było uchylone, więc niewiele myśląc jeden z nas wszedł przez to okno, aby otworzyć drzwi od środka. Wtem skrzypnęły drzwi wejściowe i zjawił się pan kierownik, który urządził małą scenę. Jak widać obserwował wszystko ze swego gabinetu, ale sam nie otworzył drzwi, zaś naszą inicjatywę potraktował jako *causa lasae majestati*. Usłyszał wtedy nieco cierpkich słów od jednego acwokata, który starał się mu wyjaśnić, że tabakiera jest dla nosa a nie odwrotnie. Nie przekonało to pana kierownika, ale więcej takich scysji już nie było. Mimo trochę żandarmskiego stylu zarządzania pan Salwerowicz był bardzo dobrym gospodarzem. Za jego czasów ośrodek został kompletnie wyposażony w meble bieliznę, stółowiznę i sztukce. Do dzisiaj jeszcze spotyka się eleganckie kieliszki ze złocym brzegiem przez niego zakupione, a były to czasy niedostatków na rynku, jak to w PRL. Pan kierownik hodował też świnki, uprawiał kartofle, pomidory itp. Sadził również modrzewie i karczował zbędne krzaki. Zatrudniał lozorcę obiektu, który pilnował bramy oraz personel do ogrodu i żywego inwentarza. Dziś to tylko wspominki, wszystko kupuje się w mieście.

Było później kilku kierowników m.in. pan Kazimierz Mańkowski (zwany przez przyjaciół „Kaczy”) – były ziemianin poznański, skologiacony ze znamienitymi

rodami polskimi. Był też Jacek Koziera-cki – syn naszej koleżanki Aliny, który sprawował swe „rządy” wspólnie z żoną Urszulą. Oboje byli pełni uroku i troski o gości. Nie pamiętam już wszystkich „panów na Grzegorzewicach”, byli wśród nich lepsi i gorsi. Wszyscy jednak borykali się z brakiem odpowiednich środków finansowych, gdyż opłaty za pobyt są kalkulowane dla adwokatów i ich rodzin na niezbyt wysokim poziomie, a Ośrodek zapełnia się tylko od czerwca do września. Potem ziele pustką, więc jedyną drogą zapewnienia dopływu gotówki – było organizowanie sympozjów. W związku z tym wielu naszych kolegów czuło się w Grzegorzewicach jak w domu, przechrzczono je nawet na „Gorzałkowice”. Przemierzali okoliczne stawy, lasy i pola, a przyroda tu jeszcze nie skażona tchnie atmosferą prawdziwej wsi. Z biegiem lat wokół pałacu powstały domy letniskowe. Z adwokatów pierwszy był Józio Boroda – adwokat warszawski, który adaptował starą chałupę dla celów rekreacyjnych. Potem pobudowali się również inni adwokaci: Maciej Komorowski i Antoni Saulewicz.

O gościach

Latem do naszego ośrodka zjeżdża przeważnie „adwokatura rodzinna”, to jest babcie z wnukami. Są też adwokaci samotni w starszym wieku, ceniący ciszę, spokój i miłą atmosferę wsi – jako ekwiwalent braku rozrywek typu uzdrowiskowego. Przyjeżdża także nieco osób zaprzyjaźnionych z adwokatami, głównie z dzieciarnią.

Z rozrywek stojących do ich dyspozycji – główną jest telewizja, czasem

brydż, o ile trafią się partnerzy. Z tym coraz gorzej. Nie żyją już tacy żelazni goście jak śp. Dziekan Zygmunt Skoczek i jego żona Ania, wdowa po adwokacie śp. Jadwiga Turska – pani wielkiego wdzięku, rodem z Wileńszczyzny. Nie żyje też adwokat J. Nowakowski – świetny brydżysta i gawędziarz o niesamowitych wprost wiadomościach z dziedziny historii współczesnej, prawa itd. Zmarł wieloletni bywalec śp. adwokat Pędowski – zapalony acz niezbyt wytrawny brydżysta zwany przez nas „profesorem Pędusko”. Śp. adwokat Goczałkowski – mąż koleżanki Basi Tałandy, umarł właśnie w Grzegorzewicach. Nie żyje uroczy mecenas Bolesław Kulikowski – również zapalony brydżysta oraz wdowa po adwokacie, pani Wagnerowa, którą wszyscy pamiętają w charakterystycznych okularach także z Klubu Adwokackiego w Warszawie, gdzie codziennie jadała obiady. Niestety, listę nekrologów można ciągnąć bez końca. Młodszy adwokaci bywają w Grzegorzewicach nader okazjonalnie, czasem na sympozjach, także podczas posiedzeń NRA i gdy przywożą dzieci, aby były na wsi z teściową albo „madame de compagne”...

Jednego lata, nieżyjący już, a mocno wiekowy adw. Małowicz skarżył się, że dzieci na gazonie hałasują. Powiedział, że „to nie dom dziecka”, na co koleżanka Basia Morawska, znana z ciętego języka odparowała „ale też nie dom starców, panie mecenasie” co zakończyło dyskusję... Przypomina mi to inne zdarzenie. Otóż w pewną niedzielę na spacerze koło stawów spotkałem turystę, który zapytał mnie „Proszę pana, gdzie tu jest ten dom starców – adwokatów w Grzegorzewicach”. Bywała w Grzego-

rzewicach również moja nieboszczka Mama, przypominały jej dawne „dworskie” czasy. Służył jej klimat i miłe towarzystwo, radowały codzienne partie brydża i spaceru. Poza partiami brydża, które należały do tradycji (podobnie jak spaceru po lesie i okolicznych groblach nad stawami) pobyty w Grzegorzewicach kojarzą mi się zawsze z tzw. przyjętkami u śp. adwokat Haliny Piekarskiej. Była czarującą gospodynią, która umiała zawsze stworzyć miłą atmosferę przy jednym kieliszku wina i przekąsce z biskwita. Na tych „przyjętkach” bywała głównie starszyzna, a więc wspomniani już pp. Kulikowscy i Skoczowie, śp. J. Nowakowski, a nadto żona adwokata p. Ala Falkiewiczowa oraz pp. Żywultowie – on adwokat, ona znana aktorka, występująca pod panięńskim nazwiskiem. My z żoną, mimo naszych... dziesięciu lat byliśmy tzw. młodszą generacją, co nas bawiło, bo gdzie indziej, to my byliśmy tą starszą...

W Grzegorzewicach wiele osób urządzało też imieniny, które na ogół odbywały się w klubie na dole (w przyziemiu), bywały jednak przyjęcia „na cały obiekt”. Pamiętam jak np. adw. Antoni Saulewicz wyprawił przed paru laty przyjęcie imieninowe, na które wynajął cały „pałac”, zapewniając swym gościom nie tylko wspaniałą wieczór z udziałem znanego piosenkarza p. Wojnickiego, ale również noclegi ze śniadaniem, czyli angielski Bed and Breakfast.

Ponieważ w tym czasie było jeszcze kilku zwykłych gości, m.in. ja, urzędujący na folwarku z moją Vegą, jak zawsze elegancki gospodarz przyjęcia, czyli Tolo i jego uroczą małżonka Elżbieta – zaprosili nas do udziału w tej uroczystości. Było to spotkanie w wieczorowych toa-

letach i smokingach, a ja byłem turystycznie ubrany – więc udziału w przyjęciu nie wzięłem, ale za zdrowie solenizanta solenny toast spełniłem.

Co roku odbywają się w Grzegorzewicach bale sylwestrowe, jak można to określić dwupoziomowe: na parterze i w przyziemiu. Impreza jest tania i atrakcyjna, bo również z noclegiem i rannym śniadaniem, co umożliwi gościom spełnianie toastów bez obawy, że wracając autem popadną w kolizję z prawem. Po nocnej zabawie krzepiąco działa kontakt z przyrodą, na ogół śnieżną, a możliwość wyspania się do południa daje komfort bez dodatkowej opłaty. Koszt przyjęcia jest na ogół niższy niż cena wstępu na bardziej promiennie bale w Warszawie – a więc komplety zapewnione, a kto późno się zgłosi, odejdzie z kwitkiem.

W niedzielę większość towarzystwa udawała się na mszę św. o godzinie 9. do pobliskiego kościółka w Skłach, gdzie w onym czasie był proboszczem ks. Włodarczyk. Ksiądz ten energicznie zabrał się do renowacji modrzewiowego kościółka, który zastał w opłakanym stanie. Wykorzystał przyjaźń z profesorem T. Dominikiem z Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, który dokonał fachowej renowacji wnętrza. Ksiądz bywał też gościem w Grzegorzewicach (zwłaszcza podczas „rządów” młodych państwa Kozierackich) i starał się rozrzucać nieco ospałą parafię, co udawało mu się ze zmiennym szczęściem.

O sympozjach

Osobną uwagę należy poświęcić sympozjom w Grzegorzewicach. Brałem w nich udział niemal co roku. Wiele

z nich sam organizowałem i kierowałem ich przebiegiem. Na innych byłem uczestnikiem bądź wykładowcą. Ponieważ jestem miłośnikiem zabawy i tańca, każde „moje” sympozjum musiało obowiązkowo składać się z dwóch części: rannych wykładów na I piętrze i wieczornych przyjęć w podziemiu. Starłem się, aby w tych przyjęciach brali udział wszyscy uczestnicy sympozjum, aby nie dzielili się na wesołą grupę młodszych kolegów i starszych samotnie siedzących przy stolikach. Musiał być zawsze wspólny stół, zastawiony kanapkami, ciastkami i napojami, w tym wysokokowymi, na co wszyscy się składali, a potem wspólnie uczestniczyli w zabawie. Na honorowym miejscu sadzano bardziej wiekowych adwokatów, kilka razy z rzędu „dziekana z Wyszkowa”, zawsze eleganckiego i pod nieodłączną muszką – adw. Zygmunta Rose. Po nieodzownych toastach na cześć naszych nestorów zaczynały się tańce przy muzyce z magnetofonu, w których uczestniczył kto chciał i umiał.

Coroczne w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych sympozja i wykłady naukowe przetrwały jedynie do 1990 roku. Po zmianach ustrojowych moda na tę formę szkolenia jakby się zmieniła, ale nasze środowisko nie potrafi dostoso-

wać się do nowych realiów, bo problemów wymagających omówienia i dyskusji jest aż za wiele. W ostatnim choćby okresie poza tak istotną zmianą jaką przechodzi ustawodawstwo karne, mamy do czynienia z licznymi zmianami w zakresie innych dyscyplin: prawo mieszkaniowe, gospodarka gruntami, podatki, egzekucja sądowa itd. Wystarczy przejrzeć tytuły Dzienników Ustaw. Forma wykładów i seminariów z oderwaniem od pracy i normalnego środowiska wydaje się być najlepsza, mimo większego kosztu. Trzeba jednak, aby ktoś podjął inicjatywę, nie wystarczy wywieść ogłoszenia. Trzeba także sympozjum merytorycznie i organizacyjnie przygotować, a nadto dobrze rozreklamować, przekonując kolegów, że warto poświęcić nieco grosza i czasu, aby przyswoić sobie ostatnie nowości. Do tego trzeba jednak albo profesjonalisty, albo osoby, która czyni to z wielkiej potrzeby ducha, zapaleńca, który umie pokonać opór materii i ludzi, a tych w naszej adwokaturze nie widzę. Szkoda.

Kończąc wyrażam nadzieję, że Koleżanki i Koledzy bywający w Grzegorzewicach też podzielą się z „Palestrą” swoimi wspomnieniami, bo XX-lecie zdarza się tylko raz.